

Sarmacki savoir vivre

Tytuły. Wzgląd na godność i dostojęństwo był bodaj czy nie najważniejszą cechą kultury szlacheckiej. Mimo teoretycznej równości stanu rycerskiego, wysoka godność wojewody lub kasztelana silnie odznaczała się w życiu towarzyskim w porównaniu do godności zwykłego szlachcica. Odbijało się to przede wszystkim w tytułach. Równy do równego mawiał „waszmość panie”, „waszmość”, „waćpan”, a już bardziej bezpośrednio „panie bracie”. Ton bardzo poufały, protekcyjny, graniczący z lekceważeniem miało słówko „acan”, „asan” i „aspan”, które możny pan łaskawie rzucał służącemu-szlachetce, albo też sąsiad dobremu sąsiadowi, z którym dawno powinni być na ty. Do wyższego dostojęństwem zwracano się „wielmożny panie” lub „wasza wielmożność”, do senatora „jaśnie wielmożny panie”¹, a do książąt dziedzicznych „Jaśnie Oświecony książę”.

Taka sama tytulatura obowiązywała w listach. Pisano więc: „Wielmożny Panie X, mój (Wielce) Mości Panie Bracie” lub „Urodzonemu X, memu Mości Panu Bratu” do znajomego szlachcica, „Jaśnie Wielmożny Panie X, a mnie Wielce Miłościwy Panie” do senatora, „Jaśnie Oświecony Książę X, ...” do książąt. Z kolei możny pan do zwykłego szlachcica pisał „Mnie Wielce Mości Panie X, mój Mości Panie i Przyjacielu” – nie tytułując bratem. Podobnie szlachcic do mieszczanina – „Łaskawy Panie X”, ewentualnie „Panie i Przyjacielu”, ale nigdy „Bracie”. Król zaś pisał do szlachty „Wielmożny Panie X, Uprzejmie nam Miły”. **Uwaga:** Jeśli adresat listu piastował jakiś urząd, w miejscu X nie pisano nazwiska, tylko sam tytuł, np. „Jaśnie Wielmożny Panie Kasztelanie wileński, mój Wielce Mości Panie i Dobrodzieju”. Drobnym z pozoru uchybieniem w „intytulacyey” - np. pominięciem słówka „Bracie” w korespondencji z równą sobie osobą – można było poważnie obrazić adresata, dając mu do zrozumienia, że uważamy się za nierównie lepszych od niego.

Miejsce honorowe. Równie ważnym jak prawidłowe tytułowanie było zachowanie właściwej kolejności w zajmowaniu miejsc przy stole, w kościele, w sejmie, w roli (imienny spis towarzyszy wojskowej chorągwi), wszędzie. Pierwsze miejsca były zawsze dla najdostojniejszych. Nawet w szkółce parafialnej czy w kolegium dzieci szlacheckie zasiadały w pierwszych ławkach, a plebejskie dalej od katedry. Na sejmiku albo uczcie nieraz wybuchały awantury o to, czy podkomorzy winien siedzieć wyżej od starosty, czy o jedno krzesło niżej. Żołnierze o wyższe miejsce w roli (zależne od godności i od stażu) bili się na szable.

A w najwyższych sferach niezmiernie znaczenie miała tzw. „prawa ręka”. Bowiem przy spotkaniu dwóch monarchów lub reprezentujących ich wielkich posłów ten, który miał „prawą rękę”, czyli stał/siedział mając rozmówcę po swojej lewej stronie, uznawany był za wyższego godnością. Rzecz jasna, w przypadku dwóch królów rzecz była ogromnej wagi. Sobieskiemu i cesarzowi udało się uniknąć sporu, gdyż spotkali się po prostu konno, w polu, zwróceniu ku sobie twarzami. Ale z „Ogniem i mieczem” pamiętamy chyba szopkę, jaką odstawił Chmielnicki Kisielowi przy zajmowaniu miejsca w saniach...

Powitanie. Najpowszechniej stosowanym podrowieniem był zwrot „Pomaga Bóg”, używany przez co bardziej pobożną szlachtę i mieszczan oraz wszystkich niemal chłopów. Znana do dziś fraza „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” weszła w użycie dopiero w XVIII wieku, więc w Dzikich Polach nie powinniśmy jej stosować. Szlachta często witała się również świeckim „Czołem” „Witam” lub „Dzień dobry”, a wśród żołnierzy szeroko rozpowszechniło się pozdrowienie „Służba!” albo „Moja służba!”.

Na tym jednak nie dość było, grzeczność nakazywała bowiem wykazać żywe zainteresowanie rozmówcą. Tak więc zapytywał szlachcic spotkanego sąsiada najpierw o zdrowie, potem o zdrowie żony i dzieci, potem o powodzenie ostatnich spraw, na przykład jak zboże obrodziło,

jak się czeladź sprawuje, czy nowy koń faktycznie wart był swojej ceny, et cetera, et cetera. Wypadało też pogwarzyć o ostatnich wydarzeniach w powiecie, parafii czy miasteczku, ot tak, dla pogawędki, nawet jeśli żadnego z rozmówców to specjalnie nie obchodziło. Gadulstwo było jedną ze znaczniejszych cech Sarmatów. Uważajcie więc, Panowie Gracze! Jeśli znajomego szlachcica zbędziecie na drodze byle krótkim „Czołem, panie bracie!” i pojedziecie dalej, poczuje się bardzo obrażony.

Obłapianie i całowanie. W czasach Renesansu modna u nas była galanteria włoska. Przy powitaniu kłaniano się grzecznie, ewentualnie ściskano sobie dłonie, ale chwytanie się w objęcia uznawano za grube, moskiewskie obyczaje. Lecz pod wpływem barokowej, sarmackiej wylewności „niedźwiedź” moskiewski zagościł i u nas. Tak więc gdzieś od lat 30-tych XVII wieku na powitanie pośród równych sobie panów braci powszechne stało się ściskanie się w objęciach i całowanie w... nie w policzki, jak dzisiaj, tylko w szyję albo w ramię. Niewiasty całowano po rękach, jak dzisiaj, ale ów niehigieniczny obyczaj był często umilany złożeniem drugiego pocałunku na... biuście witanej niewiasty, co było całkowicie dopuszczalne i wobec wydekoltowanych sukien drugiej połowy XVII wieku szeroko praktykowane.

Osoby stojące wyżej w hierarchii społecznej całowano w rękę, osoby duchowne również w rękę lub obejmowano je w pasie i całowano w pierś. Taki sam szacunek obowiązywał wobec rodziców, zwłaszcza wobec ojca. Wyrazem jeszcze większej czołobitności było padanie przed rozmówcą na klęczki, obejmowanie go pod nogi i całowanie w kolana – tak postępował wdzięczny szarak wobec magnata-dobroczyńcy, chłop składający prośbę u pana, syn lub córka chcący wyrazić rodzicowi najwyższe oddanie, żołnierz dziękujący królowi za tytuł porucznika. Czołobitnością maksymalną, bardzo już uwłaczającą ludzkiej godności, było padanie „plackiem do nóg” i całowanie w stopy. Mało który szlachcic kiedykolwiek poniżał się w ten sposób, dopiero w XVIII wieku zdarzało się to częściej. Nawet biedny parobek padał do stóp panu-szlachcicowi jedynie w wyjątkowych sytuacjach, np. błagając o darowanie kary... stąd też na widok tak wielkiego uniżenia czasem panu serce miękło!

Czapka i ukłon. Ciekawym staropolskim zwyczajem było noszenie czapek również i pod dachem, także będąc w gospodzie lub w gościnie u znajomych. Dziś to może dziwić, ale biesiadująca szlachta nawet przy stole siedziała z nakrytymi głowami. Na powitanie równej sobie lub wyższej osoby zdejmowano czapkę, po czym nakładano ją z powrotem². Nawet możny pan powinien uchylić czapki zwykłemu szlachcicowi, a jeśli tego nie uczynił, wyraźnie dawał mu odczuć swoją wyższość. Ważne było nawet to, kto pierwszy podniósł rękę, by odsłonić głowę. Równi sobie winni uczynić to jednocześnie, możny pan czekał aż „podlejsza” osoba sięgnie do czapki pierwsza.

Obowiązywało to i w najwyższych sferach i to nie tylko w Polsce. Opowiadano sobie anegdotkę o tym, jak po zwycięstwie wiedeńskim Sobieski spotkał się z cesarzem austriackim i długo stali nieruchomo, czekając aż ten drugi wykona powitalny gest. Wówczas to Sobieski miał sprytnie nabrać cesarza, unosząc rękę jako pierwszy, ale po to tylko... by podkreślić wąsa.

Rzecz jasna, powitaniom i czapkowaniom towarzyszyć winien ukłon. Kłaniano się dość nisko, zginając prawe kolano i trzymając lewą rękę na sercu, a prawą wykonując gest ku dołowi, jak gdyby chcąc podjąć rozmówcę pod nogi³. Kobieta dygając zginała oba kolana. Dostojny senator nie kłaniał się tak głęboko, jedynie odklaniał skinieniem głowy, uchylając czapki. Dodać należy, że polski ukłon był ciekawym zjawiskiem dla cudzoziemców, z których jedni uważali go za poważny i dostojny, a drudzy za zbyt czołobitny.

Gościna. O samej staropolskiej gościnności nie ma co pisać, bowiem w pierwszej księdze „Dzikich Pól” już o tym stoi, a zresztą i w narodowej tradycji coś niecoś jeszcze pozostało. Opowiem natomiast o zwyczajach obowiązujących gospodarza i gościa.

Po pierwsze, jeśli gość był oczekiwany, należało powitać go już na ganku (albo u samych wrót, jeśli chcieliśmy uczynić wielki honor), stąd często posyłano wyrostka na dach lub na drzewo, by wyglądał na drogę i dał znać zawczasu. Gdy oznajmił, że goście jadą, kucharze rzucali się podrzewać potrawy, a gospodarze pospiesznie wdziewali paradne stroje i ustawiali służbę w ordynku. Gość zaś powinien nadjeżdżać powoli, aby dać na te przygotowania czas. Gospodarz, jak wspomniałem, winien stać na ganku i powitać gościa krótką przemową, dziękując za przybycie tak znamienitej osoby w jego niskie progi. Gość na odwrót – dziękował za zaszczyt, jaki mu wyświadczone, przyjmując w tym sławnym domu tak niegodną osobę. Służba zabierała konie przybysza do stajni i odtaczała powóz na bok, a gospodarz prosił na pokoje - a właściwie od razu do stołu, gdzie stawiano już półmiski i dzbany. Jeśli gość przyjechał z małżonką, żona gospodarza podejmowała ją zazwyczaj w pokojach niewieścich. Czasami gość zabierał ze sobą jednego czy dwóch pacholków, którzy stawali za jego krzesłem podczas biesiady, a resztę czeladzi (jeśli miał więcej) zapraszano do izby czeladnej - gdzie też najczęściej zaczynała się pijatyka.

Zarówno przy piciu, jak i przy jedzeniu obowiązywała **przynuka**, czyli przymuszanie ze strony gospodarza. Musiał on na początku nieustannie zachęcać do częstowania się, kosztowania, spełniania kielichów i dokładania na talerze. Jeżeli przynuki nie było, goście powinni wstrzymywać apetyty i raczyć się tylko małymi kaskami, tak jakby od niechcenia. Jak wyglądało nieraz przymuszanie do picia gości, którzy wzdragali się zbyt szczerze, opisano w podręczniku Dzikich Pól.

Pożegnanie wyglądało podobnie jak przywitanie. Gospodarz odprowadzał przybysza na ganek (lub do bramy), a na podwórzu czekał już zaprzężony powóz. Gospodarz dziękował gościowi za przyjazd, przeproszał za niewygody i przyjęcie niegodne tak zacnego gościa, wyrażał żal z powodu rozstania, a na koniec prosił o zachowanie we wdzięcznej pamięci i ponowne odwiedziny. Gość odpowiadał w podobnym tonie, zachwalając wspaniałą gościnę i przepraszając, jeśli był zbyt ciężarem i w czymś się uprzykrzył. Oczywiście, na pożegnanie pito strzemiennego, a często pito go tyloma kielichami, przeplatając wzajemnymi pochlebstwami i niepotrzebnymi przeprosinami, że gość koniec końców rezygnował tego dnia z wyjazdu. A czasem odjechać nie był w ogóle w stanie.

Podarunki. Pośród szlachty zwyczaj wzajemnego składania sobie podarunków był bardzo rozpowszechniony. Okazję stanowiły nie tylko święta i rocznice, ale i zwykłe spotkania towarzyskie. Po wesołej biesiadzie w godnym towarzystwie gospodarz bardzo często darowywał gościowi coś na pamiątkę, a najchętniej rzecz, o której wiedział, że gościowi przypadła do gustu. Darowano więc gościom broń, kontusze, kilimy, psy myśliwskie, bogacze najczęściej rozdawali konie, a magnaci nawet i wioski. Oczywiście wypadało krygować się trochę przed przyjęciem cennego podarunku, a potem złożyć kwieciste podziękowanie. Poza tym na święta i przy różnych okazjach obdarowywano służbę domową drobnymi sumami pieniędzy lub przedmiotami niewielkiej wartości. Podobnie będąc u kogoś w gościnie, dobrze było wręczyć parę dukatów nastoletniemu synowi gospodarza, a jakiś zgrabny upominek żonie i córkom. I wszędzie należało wręczać „napiwki” - pisarzowi za wydanie aktu i kanceliście za jego przepisanie, furmanowi, przewodnikowi, grajkom w karczmie... za każdą przysługę szlachcie wręczać winien choć po parę groszy, a żebrakowi też trojaka jałmużny by się zdało... Nawet odźwiernemu w pałacu wypadało wsunąć w łapę kilka złotych, by nie wyjść na sknerę lub nędzarza.

Natomiast **nie obowiązywał** w Polsce orientalny obyczaj (w gruncie rzeczy płaski, wyrachowany i zdecydowanie nieszlachecki ☺), zgodnie z którym należało ocenić wartość

podarunku i zrewanżować się darem o identycznej wartości. Oczywiście dobrzy sąsiedzi często obdarowywali się wzajemnie, ale hetman mógł nadać wioskę ubogiemu żołnierzowi po prostu w nagrodę za wierną służbę - albo nawet z czystej pijackiej sympatii – i wojak mógł dar przyjąć bez ujemy na honorze.

Rubaszność i wulgarność. Kultura sarmacka była bardzo bezpośrednia. Nie istniała u nas sztywna, drobiazgowa etykieta (wyjątkiem był dwór Zygmunta III, hołdującego wzorom hiszpańskim), a jedynie pewne ogólne zasady przyzwoitości. Których granice były nader płynne, bo powszechnie tolerowano np. używanie „grubych” słów. Przeklinano nie tylko po karczmach, lecz i na dworach, a nawet i w sejmie pośród senatorów. Sam Władysław IV albo Jan Kazimierz w chwili wzburzenia potrafili publicznie rzucać kurwami. Nie znano u nas sztuki wykwintnej konwersacji, po dworach i pałacach (wyjąwszy dwory pańskie, gdzie w XVII w. szerzyła się moda francuska) słyszało się przede wszystkim oracje, facecje, plotki i „staropolskich pierdołów gawędy”. Dominowały więc opowieści, nie konwersacja. Same zaś opowieści często były rubaszne, a niekiedy wulgarne, zwłaszcza w gronie męskim. W obecności niewiast lub dostojnych person wypadało się hamować, a przynajmniej przeproszać za dosadne słowa frazą „uczciwszy uszy” lub „z odpuszczeniem”, ale podochoceni panowie nieraz i przy damach się zapominali. Stąd już młodziutkie, dorastające panny były oswojone z karczemną mową, a czasem i im samym wypsnęło się mocne słówko, ku lekkiej konfuzji „winowajczyni” i wielkiej ucieśze obecnych.

Wyzywano się najczęściej „od matki”, czyli „skurwy synem”, „pogańskim synem” lub łagodniej, „takim synem”, ponadto często słyszało się obelgę „kiep” lub „kurwa”. Co ciekawe, „ty kurwo” mawiano zarówno do kobiet (gdzie czasem łagodzono na „murwę”), jak i do mężczyzn. Zachował się list „Diabła” Stadnickiego do Mikołaja Jazłowieckiego, w którym pisze „Kurwo wszeteczna, nikczemna, przestań kurewskich, wszetecznych swarów.” Nawet popularny dzisiaj wulgaryzm na „j” jest bardzo sędziwy, spotykamy go bowiem już w kronice sądowej z XVII wieku, w sytuacji tyleż strasznej co komicznej – gdy prowadzoną na stos czarownicę zapytano zgodnie ze zwyczajem, czy odpuszcza krzywdy swoim prześladowcom, sędziom i oprawcom, wiedźma „odpuściła” dosadnymi słowy „jebał ich tam pies”.

I jeszcze jedno. Bardzo plugawie brzmiały dla uszu współczesnych wykrzyknienia typu: "idź do diabła", "niech mnie diabli porwą", "niech go piekło pochłonie". Szatan był w XVII wieku żywy i fizycznie obecny pośród ludzi. Podobne przekleństwa mogły ściągnąć diabelską uwagę i się urzeczywistnić. Istniało wszak wiele opowieści o porwaniu grzeszników żywcem do piekieł.

Kłątwy. Oprócz zwykłych wyzwisk niezmiennie często rzucano kłątwy. „Żeby cię pierwsza kula nie minęła”, „bodajbyś szczeł/zdechł”, „bodaj cię zabito” i wiele, wiele innych. Celowały w tym mieszczyki, a zwłaszcza przekupki. Ale i szlachcianki wykazywały się nieraz prawdziwym kunsztem, jak znana z pamiętników Paska pani Sułkowska, której żołnierze królewscy wycięli na szałas drzewka z wirydarza. Gdy potem król zajechał do jej dworu, gospodyni padła na kolana, wzniosła oczy i ręce ku niebu, po czym jęła wołać: „Panie Boże sprawiedliwy! Jeżeliś kiedykolwiek różnymi plagami karał złych i niesprawiedliwych królów, wydzierców, szarpaczów, krwie ludzkiej niewinnej rozlewców, dziś pokaż sprawiedliwość twoją nad królem Janem Kazimierzem, żeby pioruny na niego z jasnego nieba trzaskały, żeby go ziemia żywo pożarła, żeby go pierwsza kula nie minęła, żeby wszystkie owe, które dopuściłeś na Faraona, jego dotknęły plagi za te wszystkie krzywdy...” A kto chce wiedzieć, jak się to dla baby skończyło, jazda do księgarni po Paskowe „Pamiętniki”!

Pojedynek. Staropolski pojedynek różnił się bardzo od modelu zachodnioeuropejskiego, który znamy chociażby z "Trzech muszkieterów". Pojedynek polski nie wykształcił nigdy ścisłych zasad ani sztywnego kodeksu honorowego. Nie było nawet obowiązku się bić. Szlachcic mógł odrzucić wyzwanie nie narażając się na utratę honoru, a jeśli obwołano go za to tchórzem, wystarczyło dumnie podkreślić swoją wyższą pozycję społeczną. Co w praktyce mógł zrobić każdy - stary mógł nie chcieć bić się z młokosem, posesjonat z hołyszem, urzędnik ziemski ze zwykłym szlachcicem. Mówiło się wtedy z godnością coś w stylu: "Byłbym ja ci stanął, gdybyś był mi równy, ale żeś tego niegodzien, to cię mogę jeno sługom moim kazać obić." Jeśli zaś pozycja obu adversarzy była równa, sprawę załatwiała rozmowa przeciwnika o nieprawie pochodzenie albo o zboczenie seksualne albo o krzywoprzysięstwo albo o cokolwiek hańbiącego. Nie było również obowiązku wyzywania na pojedynek za doznaną krzywdę lub zniewagę - dla osiadłej szlachty bardziej naturalne było pozwanie krzywdziciela do sądu niż na ubitą ziemię. Rzecz jasna, inne zwyczaje panowały wśród wojskowych, którzy za zniewagę zwykle odpłacali szablą, ale warto pamiętać, że nie było to konieczne dla zachowania honoru. Można było dochodzić swego w sądzie, a nawet po chrześcijańsku darować wszystkie winy. Jeśli już wyzywano do walki, czyniono to najczęściej osobiście, bo też większość pojedynków wybuchała spontanicznie i rozstrzygała się jeszcze zanim opadły emocje. Co prawda nie wypadało wszczynać burdy będąc u kogoś w gościnie, bo wyrządzało się tym samym dyshonor gospodarzowi (i to podwójny - raz, że okazywało mu się pospolity brak szacunku i dwa, że atakowało się gościa, za którego bezpieczeństwo gospodarz był częściowo odpowiedzialny), ale podczas mocno zakrapianych biesiad mało kto na to zważał - co najwyżej pro forma wychodziło się na podwórze, żeby bójka nie odbywała się pod dachem gospodarza. Oczywiście nie zawsze skakano sobie do gardeł natychmiast (a jeśli nawet, to czasem jeszcze kompani przytrzymali i kazali ochłonać), nie zawsze też obrażony był obecny na miejscu - czasem dowiadywał się o wyrządzonej mu zniewadze od osób trzecich. Toteż wyzwanie na pojedynek - ustne albo pisemne - można było posłać za pośrednictwem znajomego szlachcica. Wypadało, żeby to był szlachcic, a jeżeli kartelusz z wyzwaniem poniósł sługa, oznaczało to kolejny policzek dla przeciwnika. Sługa był zresztą bardziej narażony na ewentualne skutki gniewu wyzwanego - był przecież w podobnej sytuacji, jak woźny dostarczający pozew. Co do sekundantów, to panowała tu pełna dowolność. Można było wybrać sobie sekundantów i sędziego, a można było i poprzestać na zwykłych obserwatorach. Raczej nie zdarzały się pojedynki sam na sam, bez żadnych świadków, a przynajmniej nigdy o takim nie słyszałem. Samo wyzwanie na pojedynek nie było w Polsce bezwzględnie wiążące. Jeśli umawiano się na odleglejszy termin, krewni i przyjaciele starali się załagodzić spór i do rozlewu krwi nie dopuścić, co też często się udawało ⁴. Pogodzenie się, wzajemne przeprosiny i zaniechanie pojedynku wcale nie przynosiły ujmy na honorze, a wręcz przeciwnie, świadczyły o chrześcijańskich cnotach i zdrowym rozsądku, które to przymioty były wysoko cenione ⁵. Takich niedoszłych pojedynków mieliśmy bardzo wiele. A skoro już jednak naprawdę doszło do siekaniny, warto zaznaczyć, że pojedynki na szable rzadko bywały śmiertelne - najczęściej kończyły się tylko zranieniem jednego z walczących w ramię lub dłoń (i np. obcięciem paru palców) ⁶. Następne w kolejności były cięcia w głowę - też nie zawsze śmiertelne - a najrzadziej występowały pchnięcia bądź trafienia w inne lokacje. Tu polska statystyka wypada o wiele korzystniej od zachodnioeuropejskiej, na Zachodzie walczone bowiem na rapiery i szpady, co w większości przypadków kończyło się śmiercią. Niemal każde poważne trafienie szpadą w korpus (przebiecie płuca, wątroby, brzucha) prowadziło prosto na cmentarz - albo ginęło się na miejscu albo w krótkim czasie z zakażenia. Tak więc tradycje zachodnioeuropejskie były bardziej krwiożercze nie tylko ze względu na surowy kodeks honorowy, ale również i ze względu na rodzaj używanej broni. W Rzeczypospolitej honorowe pojedynki na wzór zachodni (lecz zwykle na szable) występowały tylko czasami, a zwyczaj ten przynosiła

głównie młodzież kształcona na europejskich uniwersytetach. Takie pojedynki szerzej rozpowszechniły się jednak dopiero w XVIII wieku. Opinia sarmacka była bardzo przeciwna zachodniemu kodeksowi honorowemu, a zwłaszcza owej chłodnej, dumnej uprzejmości wymaganej podczas pojedynku. Rozumiano, że można się wściec i posiekać przeciwnika na miejscu, ale mordować się na zimno, na spokojnie, świadcząc sobie wzajemnie grzeczności... nie, tego Sarmaci nie akceptowali. A na zakończenie wspomnę, że pojedynki od 1588 roku były w Polsce zakazane pod karą pół roku i sześciu tygodni więzienia, co zdarzało się nawet niektórym odsiedzieć. Na Litwie za pojedynki formalnie groziła kara śmierci - ale tak surowego prawa oczywiście nie egzekwowano.

Teatralność zachowań. Prawdziwy Sarmata czynił ze swojego życia jedno wielkie theatrum, zwłaszcza gdy drudzy patrzyli. Szlachcic doby baroku wszystko robił trochę na pokaz. Dziś o rwaniu włosów z głowy albo tupaniu ze złości mówi się raczej w przenośni, ale w rzeczywistości sarmackiej rządziła maksymalna ekspresja w okazywaniu emocji. A może po prostu ludzie baroku przeżywali wszystko tak silnie? Zagniewany szlachcic tupał, krzyczał, przeklinał, rzucał w złości czapkę na ziemię i deptał ją nogami. Wzruszony nie wstydził się publicznie wylewać łez. Zrozpaczony bił głową w ścianę i targał się za czuprynę. Uradowany podkręcał wąsa, śmiał się w głos, hukał na całe gardło i ciskał czapkę w powietrze. Zafrasowany marszczył czoło, targał się za wąs czy brodę. Wobec ojca, matki, księdza, ukochanej panny padał na kolana albo i plackiem do nóg. I tak dalej, i tak dalej. Jakaś powściągliwość? Jakieś umiarkowanie? Furda! Kiedy grasz w Dzikie Pola, nie krępuj się nigdy! Wal pięścią w stół i rwij się do szabli. Bij się z uciechy po udach. Bierz się pod boki. Przesadnie gestykuluj rękami. Podkręcaj wąsa. Klep kompanów po plecach. Ściskaj przyjaciół w objęciach. I pamiętaj, że są to zachowania jak najbardziej naturalne.

Opanowanie. Gdy mówimy o teatralnym okazywaniu emocji, nie można nie wspomnieć o gniewie, w którym szlachcic dopuszczał się przeróżnych ekscesów, których niejednokrotnie później żałował. I trzeba powiedzieć, że w dawnej Rzeczypospolitej panowanie nad sobą nie było specjalnie cenione. Ani sędziwy wiek, ani wykształcenie, ani urząd i dostojność nie zobowiązywały do powściągliwości. W źródłach nie brak opisów scen, jak to hetman ganiał żołnierza po obozie z buławą, jak król sywał kurwami w obecności senatorów, albo jak dwóch wojewodów poszło za łby na dwornej biesiadzie. Butna i popędliwa szlachta okazywała zadziwiającą wyrozumiałość, gdy chodziło o czyny popełnione w chwili złości. Choćby kto poranił kogo albo nawet zabił, starczało wypłacić rodzinie odszkodowanie i okazać szczerą skruchę. Zwykle wybaczano. W gniewie (albo po pijaku, jeśli już o tym mówimy) na bardzo wiele można sobie pozwolić. Co nie znaczy, że zawsze da się potem uniknąć konsekwencji - ale na pewno można liczyć na zrozumienie. Jeśli nie u samego pokrzywdzonego, to przynajmniej w oczach opinii publicznej.

B. Baranowski "O hultajach, wiedzmach i wszetecznicach", Łódź 1988

J. St. Bystron "Dzieje obyczajów w dawnej Polsce", PIW 1976

W. Czapliński, J. Długosz "Życie codzienne magnaterii polskiej w XVII w.", Warszawa 1982

J. Kitowicz "Opis obyczajów", Wrocław 1950

Z. Kuchowicz "Obyczaje staropolskie", Łódź 1975

W. Łoziński "Życie polskie w dawnych wiekach", Kraków 1978

J. Ch. Pasek "Pamiętniki", Wrocław 1952

¹ Co dotyczy większej części XVII wieku. Wcześniej tytuły miały większą cenę. I tak w XVI w. senatorów tytułowano jedynie "wielmożnymi", zwykłą szlachtę-posesjonatów "urodzonymi", ubogich hołuszy "szlachetnymi" panami. A w w. XV i do wojewody pisać można było po prostu "Łaskawy Panie", zaś "wielmożny" zastrzeżony był głównie dla Majestatu...

2 Chłop natomiast w obliczu szlachcica musiał przez cały czas stać z gołą głową, trzymając czapkę przed sobą. Znany jest przypadek, w którym szlachcic zabił cudzego chłopca za to właśnie, że ów nie zdjął przed nim czapki.

3 Ludzie prości natomiast kłaniali się „w pas”, pochylając się nisko i trzymając ręce przed sobą. Oczywiście głębokość ukłonu bywała różna - krnąbrny chłop tylko garbił się i pochylał głowę, uprzejmy zginał niemalże w pół.

4 Oto jest i pomysł na epizod w scenariuszu. Niechaj zaprzyjaźniony BN zwadzi się z kimś i wyzwie na pojedynek – a przeciwnik zwróci się do Swawolnej Kompanii z prośbą o mediację. Niechaj uproszą przyjaciela, by puścił zniewagę w niepamięć i wyciągnął rękę do zgody.

5 Chyba, że sprawa miała miejsce w gronie krwiożerczych wojenników albo bandytów, nawykłych do zbrodni i gwałtu, a niezwykłych puszczać niczego płazem.

6 Bito się w szable również i konno albo pojedynekowano na pistolety. A jeśli gra toczy się za Zygmunta Augusta, Walezego lub Batorego, może się jeszcze trafić przestarzały już wówczas, tradycyjny pojedynek rycerski. Konno, w pełnej zbroi, na kopie i miecze. Miłej zabawy!